



Polska kompozytorka Krystyna Moszumańska-Nazar dziękuje Orkiestrze Symfonicznej Helmskiej za wykonanie swego utworu pod tytułem „Hexaedre” na orkiestrę.

Dr TADEUSZ STANISZ

REFLEKSJE OPTYMISTYCZNE

Niedawno rozpoczęła kolejny rok pracy Wyższa Szkoła Inżynierska; 5 października zainaugurowała nowy rok akademicki Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie, już jako samodzielna uczelnia wyższa. Nie chodzi tu z pewnością o zaspokojenie ambicji regionalnych; rzecz w tym, że wiele narastających stale potrzeb natury gospodarczej i kulturalno-oświatowej będzie można łatwiej realizować. Ale o tym za chwilę.

Wolno jednak wyrazić uczucie zadowolenia i radości, które ogarnia każdego myślącego człowieka związanego z województwem rzeszowskim. Oto słuszną polityka partii i rządu doprowadziła do zorganizowania dwu wyższych uczelni w Rzeszowie.

Dyskusja na temat potrzeb szkolnictwa wyższego w naszym województwie rozwijała się dość dawno. Można znaleźć na to dowody np. w rocznikach „Nowin Rzeszowskich” z 1954 r. Dzisiaj dyskusja należy do historii. Faktem jest powstanie i stały rozwój 2 samodzielnych wyższych uczelni; ich znaczenie i wpływ na przyszłość naszego regionu będzie wykazywał tendencję wzrostu.

Historycy oceniają ten niecodzienny fakt. Może ktoś w przyszłości napisze, że założenie wyższych uczelni w Rzeszowie było tym dla naszego województwa, czym założenie Akademii Krakowskiej dla Polski w XIV wieku. Oczywiście — si parva magnis comparare licet; porównania są zawadne — inne czasy, warunki, formy ustrojowe,

inny zasięg terytorialny. Ale część prawdy tkwi chyba w każdym porównaniu.

Faktem jest, że z terenu dzisiejszego województwa rzeszowskiego wychodziły od dawna poważne grupy ludzi nauki, artystów, ludzi pióra, którzy wykształceni w wielkich środowiskach naukowych i artystycznych przeważnie już tam zostawali, zasilać wielkie miasta świeżym, wartościowym elementem, wywodzącym się z głębokiej nieraz prowincji.

Nie tu miejsce na przykłady; jest ich zbyt wiele i śmiem twierdzić — dotyczą one każdej dziedziny nauki i sztuki. Ta emigracja ludzi, twórczo pracujących, dla których magnesem były wielkie środowiska naukowe, wpływała oczywiście hamująco na podnoszenie się stylu życia, zmianę modeli zainteresowań tzw. prowincji. Obecnie sytuacja powoli będzie się zmieniać na lepsze; magnesy zaczynają działać i z biegiem czasu będą działać w samym Rzeszowie. Ściągając tu będą młodzi naukowcy związani z regionem i znający jego potrzeby. Na pewno będzie rosła kadra naukowa Wyższej Szkoły Pedagogicznej i to pod każdym względem. I wolno żywić uzasadnioną nadzieję, że jej praca odbije się dodatnio w środowisku nie tylko nauczycielskim. Stałe kontakty ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego i Okręgowym Ośrodkiem Metodycznym, czynny udział w różnych konferencjach nauczycielskich mogą okazać się tutaj skutecznym środkiem.

Faktem jest również, że ze wszystkich powiatów województwa rzeszowskiego wychodziły ogromne rzesze nauczycieli, wykształconych w seminariach nauczycielskich przekształconych później na licea pedagogiczne. Te szkoły nauczycielskie rozwijały swą działalność nie tylko w Gorlicach i Mielcu, nie mówiąc o Rzeszowie i Przemyślu. Licea pedagogiczne działały w Brzozowie, Krośnie i Sanoku. A już tylko starsi pamiętają, że seminaria nauczycielskie były również w Tarnobrzegu i Rudniku n/S. A Ropczyce? A kursy nauczycielskie w innych miastach?

Tysiące nauczycieli ruszały z Rzeszowszczyzny do pracy do

(Ciąg dalszy na str. 4)



Koncert poświęcony twórczości Albana Berga stał się wydarzeniem „Jesieni Warszawskiej” — 65. Na zdjęciu: dyrygent Jan Krenz i solistka, świątka Halina Łukomska.

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

MUZYKA «WARSZAWSKIEJ JESIENI»

MARATON MUZYKI nowej w Warszawie dobiegł końca. Natomiast dyskusja na temat przedstawionych utworów i samego Festiwalu Muzyki Współczesnej dopiero nabiera pełnego rozmachu i chyba nie zamknie tak szybko. Do tej muzyki będziemy wracać nieraz, chociażby z okazji wykonania różnych kompozycji z programu „Jesieni” przez zespoły symfoniczne kraju. A jest w czym wybierać! I bodajże każdej próbie popularyzacji nowej muzyki trzeba serdecznie przyklasnąć, bo coraz silniej daje znać o sobie zbyt wolno zmniejszająca się odległość, między kompozytorem i jego dziełami a odbiorcą, nie tym przypadkowym słuchaczem, lecz nawet melomanem, stałym bywalcem sal koncertowych.

Ta sprzeczność silniej niż kiedykolwiek doszła do głosu w dniach ostatniego Festiwalu Muzyki Współczesnej. W tym samym czasie, gdy w kulturalnych Filharmonii Narodowej po pierwszych koncertach wybrzydzało się, że przedstawiane utwory nie są niczym innym niż przetwarzaniem tego, co znane jest już od lat dziesięciu, a nawet piętnastu, liczni słuchacze wyjękliwi aparaty radiowe i telewizyjne, bo ta muzyka niczego im nie mówiła, nie była przez nich do przyjęcia, szokowała. Efekt końcowy taki, że pierwsze krytyczne głosy zagłuszyły późniejsze słowa uznania, a nawet entuzjazmu. Kapitalna krańcowa sprzeczność: „nie nowego” i „zbyt nowe” zsumowały się w ogólną ujemną ocenę samej imprezy.

Los zrzędził, że bezpośrednio mogłam przysłuchiwać się koncertom dopiero drugiej części „Jesieni Warszawskiej — 65”. I wygrałam, przekreślając porzekadło „kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”. Zapewne i stąd, że każdy z „moich” 8 koncertów przyniósł bądź interesujące nowe kompozycje, bądź mistrzowskie wykonania utworów — moja ocena imprezy z miejsca musiała być jak najbardziej życzliwa i pozytywna. Koncert poświęcony pamięci Albana Berga w wykonaniu Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyktando

Jana Krenza z udziałem Haliny Łukomskiej, występ wirtuozowskiego Zespołu Instrumentów Perkusyjnych ze Strasburga, duet fortepianowy braci Kontarskich, który osiągnął wprost niewiarygodne „zgranie” się, występ sopranistki — Doroty Dorow czy Chóru Filharmonii Narodowej i wreszcie opera Szostakowicza „Katarzyna Izmałowa” w wydaniu Opery Poznańskiej — mówią same za siebie. To uznani wykonawcy i interpretatorzy, którzy przygotowali piękne przeżycia artystyczne.

A z kompozycji szczególną uwagę przyciągnęły: „Kontakte” Stockhausena, w których ciekawie została połączona muzyka żywa z muzyką mechaniczną. „Perpetuum mobile” Estończyka Arvo Pärta, tworzące jedną wielką spiralę dźwięków, które wywołało spontaniczną owację dla twórcy, wyrafinowane „Diario Polacco” — utwór Luigi Nono, napisany pod wrażeniem pierwszego pobytu w Polsce, a był już po raz szósty, i dostownie wiele innych. Były też kompozycje, które nie mogły zwrócić uwagi słuchacza, bo tchnęła z nich pustka artystyczna, były takie, które trzeba uznać jako żart artysty lub autoironię. Na tym koncie zapisał się tym razem Krzysztof Penderecki swoją Sonatą na wiolonczelę i orkiestrę, wykonaną przez świetnego Siegfrieda Palmę, któremu jest ona dedykowana.

Na IX „Jesieni” zabrakło ekscentryków typu Franco Donatoni, który rozbawił w swoim czasie publiczność. W inny sposób nie można było przyjąć jego „produkcji”.

Przytaczam niektóre utwory, wspominać część wykonawców, chociaż „koncertów z kłapsem” dla instrumentów było niemało i te również mogły uprawić w dobry humor słuchaczy.

Muzyka nowa jest bezsprzecznie trudna, ale może być i jest piękna. Opiera się ona na zupełnie innych zasadach estetycznych, które nieosłuchanego melomana szokują. Również sposób wydobywania dźwięku z instrumentu dla uzyskania zamierzonego kolorytu utworu

(Ciąg dalszy na str. 2)

Dar rzeszowskich plastyków

Z okazji inauguracji roku akademickiego 1965/66 w nowo powstałej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie zorganizowano wystawę prac artysty plastyka Jerzego Sienkiewicza. Ekspozycja obejmuje pejzaż, grafikę i kompozycje. Wystawa cieszy się dużym zainteresowaniem zwiedzających. Warto podkreślić, że J. Sienkiewicz przekazał uczelni 10 swoich prac graficznych.

Również artysta plastyk Adolf Jakubowicz podarował młodzieży zestaw prac graficznych, który otrzymali uczniowie Szkoły Podstawowej im. Generała Świerczewskiego w Cisnej (pow. leski). Grafika A. Jakubowicza zdobi ściany nowo zbudowanego pomnika Tysiąclecia, ufundowanego przez Milicję Obywatelską.

IGNACY KRASICKI

NA OBRADACH SOBORU

KONTROLA URODZEN, ROZWODY, DIALOG Z MARKSISTAMI...

Każdy kolejny dzień dyskusji soborowej nad podstawowym schematem XIII — „O obecności Kościoła w świecie” — udowodnia, jak głęboko i zasadniczo rozbieżne są postawy ojców Soboru wokół głównych problemów współczesności.

W początkach ubiegłego tygodnia dobiegła końca dyskusja nad pierwszą częścią schematu, dotyczącą stosunku Kościoła do ateizmu i ateistów. Obfitowała ona w kontrowersyjne i sprzeczne nieraz ze sobą ujęcia. 28 września, w ostatni dzień debaty soborowej o ateizmie, wyomownie skrytykowały się te różne postawy w wystąpieniach niektórych biskupów francuskich z jednej strony, a hiszpańskich, włoskich oraz niektórych słowiańskich z drugiej strony. I tak np. biskup R. Marty oświadczył, że „w stosunku do misji Kościoła ateizm przedstawia jeden z największych i najpoważniejszych problemów naszych czasów”. Jednak według mówcy „paragraf 19 schematu, dotyczący właśnie ateizmu, wydaje się niedostateczny”, m. in. dlatego, że „choć mówiąc o teoriach ateistycznych z punktu widzenia Kościoła, należy je potępić, ale ludzi o światopoglądzie ateistycznym należy uszanować i zaprosić ich do dialogu”, czego schemat, zdaniem mówcy, nie czyni. Biskup Marty dodał, że „świadomy ateizm przedstawia się jako humanizm, który na swój sposób dąży do zbawienia ludzi”. Także biskup Garonne z Tuluzji poparł ten punkt widzenia. Inny pogląd wyrażali biskupi hiszpańscy, a także niektórzy biskupi włoscy, którzy domagali się stanowczego i doraźnego odrzucenia koncepcji dialogu z ateistami.

W ostatnich kilku dniach ojcowie Soboru przystąpili do kolejnej części schematu XIII, dotyczącej małżeństwa. I tutaj także doszło do ostrej polemiki i kontrowersji. Tradycyjne ujęcie doktryny katolickiej sprowadza, jak wiadomo, główną funkcję małżeństwa do tzw. prokreacji, tj. rozmnażania. Reformatorzy, a za nimi ostrożni i kompromisowi schemat XIII, modyfikują natomiast tę naukę, stwierdzając, że małżeństwo ma na celu — obok prokreacji — w równym stopniu „rozwijanie miłości między małżonkami”. Kardynał Leger wypowiedział się np. w imieniu reformatorów prze-

ciwko traktowaniu małżeństwa jako zwykłej „instytucji rozrodczej” i poddał krytyce schemat jako „zawodzący nadzieje wiernych” w tym przedmiocie.

Według sformułowań innych reformatorów, małżeństwo ma na celu miłość, której owocem jest potomstwo. Kardynał Ruffini, czołowy przedstawiciel obozu zachowawczego, polemizując ostro z reformatorami, wypowiedział się stanowczo za utrzymaniem tradycyjnej nauki Kościoła w tej kwestii, a szczególnie przeciwko jakimkolwiek próbom aprobacji przez Kościół kontroli urodzin.

Prasa włoska i zagraniczna ogłosiła jako prawdziwą sensację jeszcze inne wystąpienie soborowe w sprawie małżeństwa. Chodzi tu o przemówienie biskupa Zoghby, wikariusza patriarchalnego z Egiptu. Oplecając się na dawnych źródłach kościelnych, a także na nauce i praktyce kościołów prawosławnych, biskup Zoghby zażądał przyznania przez Kościół prawa do rozwodu „małżonkom opuszczonym bez własnej winy”. Ten głos za rozwodem w auli soborowej jest niewątpliwie wymownym znakiem czasu. Wzbudził też zrozumiałe poruszenie i wrażenie. Wystąpienie biskupa Zoghby poddane było przez niektórych kolejnych mówców ostrej krytyce. Niemniej, jak stwierdzają obserwatorzy watykańscy, sam fakt postawienia sprawy rozwodu na kościelnym forum posiada doniosłe znaczenie na przyszłość.

W czwartek zakończono debatę na temat małżeństwa i rodziny, i rozpoczęto dyskusję nad częścią schematu XIII, poświęconą stosunkowi Kościoła do współczesnej kultury.

Na marginesie Soboru odnotować można także inne ciekawe wydarzenie. Oto w ubiegły piątek odbyło się staraniem holenderskiego ośrodka informacji prasowej „DOC” spotkanie katolików i marksistów, poświęcone perspektywom dialogu. W czasie spotkania referat o możliwościach dialogu wygłosił znany teolog hiszpański, ks. Gonzales Ruiz. Wydobył on w swoim referacie „humanistyczne aspekty marksizmu”, podkreślając konieczność „spotkania się świata katolickiego ze światem socjalistycznym”. W spotkaniu brali udział, obok szeregu biskupów, teologów i dziennikarzy, także niektórzy teoretycy marksizmu z Włoch i innych krajów.

Dodajmy wreszcie, że z zainteresowaniem oczekuje się w kołach soborowych dyskusji nad nowym dokumentem „O stosunku katolików do Żydów i innych niechrześcijan”. Dokument ten, gorąco dyskutowany podczas II i III sesji Soboru, powrócił ma niebawem na salę obrad. Nową jego wersję rozdano w piątek. W nowej redakcji dokumentu opuszczono ustęp o „rehabilitacji narodu żydowskiego ze zbrodni bogobójstwa”. Niewątpliwie także i ten dokument będzie okazją do ostrych spier i dyskusji pomiędzy różnymi soborowymi nurtami i skrzydłami.



— O ile mi wiadomo rozpisał Pan aktywną twórczość literacką dość późno, po bogatych i wielostronnych doświadczeniach życiowych. Co Pana skłoniło do pracy pisarskiej?

— Istotnie moje doświadczenia życiowe są aż nadto urozmaicone. Nie mogę się uskarżać na szarżynę biografii. Byłem w życiu jednym z doświadczeń oddziałów powstańców śląskich, studentem, a później absolwentem politechniki lwowskiej, handlowcem, bezrobotnym, nauczycielem gimnazjalnym, pracownikiem fizycznym, oficerem w kampanii wrześniowej — walczyłem w Francji, w Anglii służyłem w oddziałach spadochronowych — oto tylko niektóre moje wcielenia. Ale literatura nęciła mnie od młodości. Już w roku 1922 zacząłem publikować opowiadania satyryczne w prasie lwowskiej i górnośląskiej. Co zresztą narażało mnie na liczne konflikty z ówczesnymi władzami, bo były to utwory z zakresu satyry politycznej.

— Czy już wtedy zamierzał Pan zawodowo uprawiać twórczość literacką?

— Nie. Wydawało mi się ciągle, że mam za mało багаż przeżyć i w związku z tym za mało do powiedzenia. W młodości byłem pod silnym wpływem literatury angielskiej, a zwłaszcza tych pisarzy z jej kręgu, których twórczość formowała bardzo burzliwe życie. Można by rzec, iż jeśli istnieje możliwość wyboru własnego losu, to pod ich wpływem wybrałem swoją biografię. Czyniłem to jednak z myślą o pracy pisarskiej.

— Kiedy Pan uznał, iż życie dostarczyło już Panu wystarczającego tworzywa dla pióra?

— Na serio, profesjonalnie zacząłem pisać po powrocie z Anglii w 1946 roku. Zaczęłem od tłumaczeń z prozy angielskiej — najpierw przełożyłem cykl opowieści fantastycznych, które weszły później do zbioru pod tym samym tytułem wydawnym przez „Wydawnictwo Literackie” w Krakowie. Przetłumaczyłem także powieść Poversa „Śmierć faworyta”. A później już zaczęły się ukazywać moje własne książki: dwutomowa opowieść biograficzna „Życie na wyrost” i „Podróźni z bronią”, a ostatnio dwie powieści „Winnica Joanny” oraz „Gniew”. Opracowałem również dla wydawnictwa „Śląsk” — „Pamiętniki powstańców śląskich”, wśród których znalazły się i moje wspomnienia z tego czasu oraz dla „Książki i Wiedzy” książkę „2 godzina” mówiącą także o waż-

ZWIĄZKI ŻYWE I TRWAŁE

W serii rozmów „Widnokreśl” z twórcami związanymi swą biografiami z Rzeszowszczyzną zamieszczamy dziś wywiad z ROMUALDEM PITERA, pisarzem i publicystą, autorem kilku książek, m. in. opowieści biograficznej „Życie na wyrost”, której akcja rozgrywa się w okolicach Strzyżowa i w Rzeszowie.

Niski, krępy, jowialny — mimo choroby pełen pogody, humoru i werwy starszy pan — jest klasycznym typem znakomitego causera i gawędziarza. Widać, że umie i lubi mówić — stanowi zanikający dziś rodzaj ludzi, dla których rozmowa jest tak samo gatunkiem literackim, jak poezja czy dramat.

nym wydarzeniu z powstań śląskich, bitwie o Górę św. Anny.

— Każdy czytelnik Pańskich książek dostrzeże niewątpliwie silne związki losów własnych autora z „Życiem na wyrost”, „Podróźni z bronią” i „Gniewem”. Autentyzność przeżyć w tych książkach oraz osobiste zaangażowanie pisarza nie podlegają dyskusji. Natomiast nieco odbiega od nich „Winnica Joanny”. Czy nie stanowi ona konstrukcję literackiej opartej na hipotezie?

— Wszystkie fakty zawarte w tej powieści są również autentyczne — spotkałem podobnych do mojego bohatera deserterów z Wehrmachtu, Ślązaków i Lubuszan na Zachodzie. Ale postać mojego bohatera ma charakter syntetyczny — składają się na nią cechy i losy wielu ludzi. Zresztą to samo dotyczy w pewnym stopniu mgieł opowieści biograficznych. Nie należy ich odczytywać dosłownie, jako pamiętniki, aczkolwiek wyrósł z moich doświadczeń losowych. Chciałbym zresztą dodać, że moja biografia wpłynęła nie tylko na warstwę treściową tych książek, lecz także na ich formę.

— Myśli Pan o gawędziarskiej swadzie, która wyróżnia Pańskie książki ze współczesnej prozy?

— Tak. Urodziłem się na wsi rzeszowskiej i wychowałem się dzięki temu w kręgu literatury mówionej, wśród bardzo utalentowanych, samorodnych gawędziarzy. Wszyscy w moim otoczeniu w tamtych czasach mówili bardzo żywo i interesująco. Po latach, w tej chłopskiej gawędzie znalazłem narzędzie pisarskie. Trafiliem na tę formę instynktownie, lecz to mnie uchroniło od naśladownictwa, a później już świadomie zacząłem rozwijać tę najbardziej rodzimą formę pisarstwa. Wydaje mi się, że w jakiś sposób reprezentuję w literaturze zanikającą tradycję polskiej prozy gawędziarskiej.

— Mówiliśmy kilkakrotnie o biografii, lecz nie sprecyzowaliśmy jeszcze dokładnie związków osobistych Pana i jego pisarstwa z ziemią rzeszowską.

— To są związki żywe i silne. Urodziłem się w Szufnarowej, w dzisiejszym powiecie strzyżowskim, a rodzina moja pochodzi z Lutczy. Szkołę ludową ukończyłem w Szufnarowej, 6 klas gimnazjalnych w Jasle, a 2 klasy w Rzeszowie (tu też zdałem maturę).

W okresie międzywojennym uczyłem przez jakiś czas w gimnazjum w Strzyżowie. Później wprawdzie mój niespokojny los wodził mnie po całym świecie, a po II wojnie za-

mieszkałem na Śląsku (obecnie w Warszawie), lecz ciągle wracam do stron rodzinnych. Mam tu wielu krewnych, przyjaciół i znajomych. Te moje strony, ludzie, krajobraz, stale są obecne w moich książkach. Wywierały i wywierają dalej ciagły wpływ na zainteresowania literackie. Ta ziemia była kiedyś i jest obecnie terenem bujnego życia, dynamicznych przemian — pełna spier i konfliktów społecznych przeszłości. Tu biją dla mnie i chyba dla wielu pisarzy żywe źródła inspiracji twórczej. W moich planach literackich na przyszłość ujawnia się to wyraźnie.

— Czy nie zechciałby Pan coś więcej na temat tych planów powiedzieć naszym czytelnikom? Oczywiście, jeśli nie obawia się Pan zapeszyć sprawy, jak obawia się wielu twórców...

— Wbrew prawdopodobieństwu (staroświecki gawędziarz) nie jestem przesądny. Złożyłem już do druku nową opowieść biograficzną z okresu kampanii wrześniowej 1939 r. pt. „Gorzki chleb”. Obecnie przygotowuję na zamówienie LSW „Żywota dziadowskie”. Będzie to zbeletryzowana historia dziadów i rozmaitych wędrowców, wędzogów, waganów od czasów odległych historycznie aż po współczesność. Tu wiele mi pomagają moje związki z Rzeszowszczyzną — krainą obfitującą w barwne typy takich „wędrusów”, które doskonale pamiętam z lat dziecińczych. Część zebranych już materiałów przeznaczę do widowiska scenicznego pt. „Kiermasz dziadowski”. Byłoby to coś w stylu adaptacji Dejmki z literatury staropolskiej, gdyż mam zamiar wykorzystać XVII-wieczne teksty literackie z kręgu rybałtowskiego.

— O ile się orientuję chodzi Panu m. in. o „Peregrynację dziadowską”, której akcja rozgrywa się zresztą w okolicach Pilzna, Jasta i Fryszta. A więc jakaś sprawa naszego regionu... Czy nie sądzi Pan, że taki spektakl mógłby przede wszystkim powstać w Teatrze im. Wandy Siemaszkowej lub w rzeszowskiej Estradzie?

— Jestem gotów do współpracy w Rzeszowie nad tym widowiskiem. Miałbym nawet dużą satysfakcję, gdyby prapremiera odbyła się właśnie w moich rodzinnych stronach.

To są moje plany najbliższe. Dależ, to prozaiczna bajka dla dzieci i dorosłych „Moi bracia i pies” oraz opowieść o warszawskim domu pt. „Kamienica”.

Rozmawiał: JAN GRYGIEL

Wystawa w Lozannie

Sukces polskiej książki dla dzieci

Od kilku miesięcy czynna jest w Szwajcarii wystawa polskich książek dla dzieci, przygotowana przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Ekspozycja — która pod patronatem Szwajcarskiego i Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO zorganizowała towarzystwo „Guilde du Livre” — obejmuje około 150 książek i uzupełniona jest rysunkami ilustrującymi książki, wycinankami ludowymi oraz lalkami w polskich strojach regionalnych.

Jak informuje Biuletyn Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO (nr 7), wystawa wzbudziła żywe zainteresowanie publiczności szwajcarskiej; sporo uwagi polskiej książce dla dzieci poświęciła także tamtejsza prasa.

„Tribune de Lausanne” pisze m. in.: „Niestety nie rozumiemy tekstów, lecz można podziwiać wysoki poziom ilustracji i doskonałość sztuki graficznej”. Omawiając wystawę, „Feuille d'avis de Lausanne” pisze: „Jest sprawą zasadniczą, aby książki dla dzieci, posiadające tak silny na nie wpływ, zwalczały wszelkie uczucia nienawiści, wszelkie przesady rasowe i inne. Konieczne jest, aby naszym dzieciom przedstawiano z sympatią bohaterów innych krajów — Heidi jest znany wszędzie, Pinocchio jest powszechnie lubiany. Byłoby dobrze, aby książki polskie mogły nam w niedługim czasie przedstawić — po francusku — swych bohaterów dziecięcych i aby w ten sposób zacieśniły się więzy przyjaźni istniejące od wieków pomiędzy naszymi krajami”.

Wystawę polskich książek dla dzieci zainaugurowano wpięty w siedzibie towarzystwa „Guilde du Livre” w Lozannie, a następnie otwarta była w Genewie, Bazylei, Zurychu, Bernie i innych miastach. Na prośbę organizatorów wystawa pozostanie jeszcze w Szwajcarii do połowy przyszłego roku.



Muzyka „Warszawskiej Jesieni”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

jest nowy, inny, często rozpraszający uwagę. Nieraz marzy się o tym, by muzycy znajdowali się za jakąś kotarą nie pochłaniającą dźwięku, ale zakrywającą tę całą „kuchnię muzyczną”. Przecież zaproszonym na ucztę gościom nie pokazuje się jak zostaje przygotowany ten czy inny rarytas. Nie więc dziwnego, że awangardowi twórcy coraz częściej zamykają się w laboratoriach studiów eksperymentalnych, by w ich „zocisku” utrwalić swoją muzykę na taśmach.

Nowej muzyce, nowym barwom muzycznym nie towarzyszy powstawanie odpowiednich instrumentów. Z biegiem lat będzie musiała nastąpić „rewolucja” również w tej dziedzinie. Na razie stare, tradycyjne fortepiany oraz instrumenty smyczkowe muszą przystoso-

Witold Lutosławski — znakomity kompozytor polski o światowej sławie z festiwalowym bukietem kwiatów.

Zdjęcia festiwalowe:

ANDRZEJ ZBOROWSKI

wać się do zadań, jakie się przed nimi stawia. W instrumentarium tradycyjnych zespołów muzycznych następują już przesunięcia na korzyść grup instrumentów perkusyjnych. I tu przynajmniej, że jedno z najmniejszych grup urażę wywarł na mnie występ grupy perkusyjnej ze Strasburga, która m. in. w „Toccacie Carlosa Cháveza” dała prawdziwy koncert najszerzego wykorzystania tych instrumentów jako solistycznych, a nie akompaniujących, jak do tego przywykliśmy. Pianissima tych z zasady krzykliwych i głośniejszych instrumentów były jedynie swego rodzaju, o pięknym i subtelny brzmieniu.

Nowa konstrukcja dzieł, rozszerzona skala dźwięku, zerwanie z tradycyjnym sposobem gry, wszystko to zmusza również słuchacza do zmiany myślenia muzycznego. Bo ten kto chce polubić, zresztą to co w muzyce już ma swe trwałe miejsce, musi zmienić swe spojrzenia na problemy muzyki. Kłwienie w klasycie opartej na harmonii będzie wywoływało bunt, sprzeciw, niezrozumienie nowego.

Zrobiłem eksperyment na prywatnym gruncie. Moja zapowiedź, że rzeszowska Państwowa Orkiestra

Symfoniczna jeszcze w tym sezonie będzie grała „Springfield sonnet” Wojciecha Kilara, utwór, który zdobył uznanie w czasie „Jesieni Warszawskiej” — wywołała niedowierzanie i „szok”. Później nie nie mówiąc — nastawiłam płytę własnie z tym sonnetem. Powoli, utwór przyciągał uwagę moich słuchaczy, by wreszcie porwać ich całkowicie i wywołać wzruszenie. Można więc nową muzykę polubić, trzeba tylko odrzucić stare konwenanse i chcieć ją poznać.

Wszyscy zagraniczni obserwatorzy, liczenie przybyli muzycy z całego świata, a wśród nich wiele sław w tej dziedzinie podkreślali omal na każdym kroku wyrobienie muzyczne słuchaczy festiwalowych koncertów. Tak, to wytrwali słuchacze wszystkich „Jesieni Warszawskich”. Ich osłuchanie, pozwala im na wyrozumiałość, przynurzenie oka na wiele pomysłów i niedociągnięć kompozytorskich. Przecież arcydzieła nie rodzą się co dzień, a nawet nie co roku... Jedno jest pewne, że współczesna muzyka znalazła się na ostrym wierzchołku. Najbardziej twórcze umysły znajdują dalszą drogę, imitatorzy odpadną.

X Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej — Warszawska Jesień 1966 już może pokazać, w którym kierunku prowadzi dalsza droga...

MARIA C. GUZIOLEK

Wydawała go — jak świadczy jego pseudonim — ziemia nad Sanem, konkretnie mówiąc, wieś tarnobrzeska, kąć, z którego wyszł m. in. tacy pamiętnikarze i poeci chłopscy, jak Jan Słomka, Wincenty Motas i Ferdynand Kuraś. Podczas gdy tamci, mimo że swoje piarstwo ograniczali do wąskich ram rodzinnego regionu, weszli do historii piśmienictwa chłopskiego sława Stanisława Gąsiorowskiego — bo tak brzmiało właściwe nazwisko „Stacha znad Sanu” — obległa w pewnym momencie cały kraj. Była to jednak sława poety anonimowego, autora głośnej „Pieśni oraczy”. Napisała w r. 1925 w Warszawie w redakcji „Woli Ludu”, rozkolportowana została wśród chłopów wszystkich zakątków Polski. Popularna i znana jej melodia „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...” oraz jej treść rewolucyjna sprawiły, że „Pieśni oraczy” stała się hymnem Niezależnej Partii Chłpskiej, najbardziej radykalnego wówczas stronnictwa chłopskiego. Kiedy lewica ludowa zaśpiewała ją w Sejmie, ówczesna prasa uznała w niej „melodię z Krasnoj Płoszczadzi”.

Ideologię „Autora z Chłpskiej Góry”, bo i tak podpisywał swe wiersze Gąsiorowski — wyznaczała współczesna rzeczywistość gospodarczo-społeczna wsi tarnobrzeskiej, którą tak dokładnie opisał w swych „Pamiętnikach włościanina” wójt dzikowski Jan Słomka, kraj wielkich kontrastów społecznych, gdzie w cieniu olbrzymiego latyfundiów hr. Tarnowskiego z Dzikowa wegetowały tysiące karłowatych gospodarstw chłopskich. Obserwacja tych stosunków i doświadczenie społeczne były nie bez wpływu na radykalizm wierszy Stanisława Gąsiorowskiego. Kształtowała go w jego młodości chłopka nędza, poezja Mickiewicza i uczestnictwo w wiecach chłopskich, organizowanych przez ks. Stanisława Stojalowskiego. „Małutki jeszcze byłem — wspomina autor — jeździłem z ojcem, którego przyjacielem był Stojalowski. Pamiętam, gdy wyszedł z za krat ponurego więzienia w Wiśniczu, krył się po wsiach, zajadł tropiony przez żandarmów i szpiegów. Na rękach miał sine odciski od kajdan, chodził głodny, obdarty, w dziurawych butach...”. Owa nędza, opowiadania starszych o pańszczyźnie, o wyjazdach na roboty rolne do Prus i

się on w aluzjach do patriotycznej tradycji chłopów polskich, jak np. w sonecie „Chłopskie jezioro” (1910). Szuwary na miejscowym jeziorze zdają się być dla autora ostrymi mieczami, które przypominają stoczony tu przez chłopów pod wodzą Stefana Czarnieckiego bój ze Szwedami. Patriotyzm „Stacha znad Sanu” widać również w ukończeniu miejscowych ruin i mowy ojezystej przodków („Mowa ojczyzna” 1913), później w powstałych podczas I wojny światowej wierszach frontowych, w których, mimo że stylizowane były na wzór modnej poezji legionowej, dochodzi do głosu motyw ojczyzny chłopskiej („Ojczyzna”, 1916). W sukurs widocznemu już w

STACH ALEKSANDER ZYGA ZNAD SANU

pierwszych wierszach Gąsiorowskiego buntowi i rewolucji przyszło objęcie w powiecie tarnobrzeskim władzy przez radykalnych chłopów w listopadzie 1918 roku. W Tarnobrzegu na rynku przed pomnikiem Bartosza Głowackiego, w chwili rozpadającej się monarchii austro-węgierskiej, na wiecu chłopskim, w którym uczestniczyło ponad 30.000 chłopów, powstał Komitet Rewolucyjny bledoty z Tomaszem Dąbalem, Eugeniuszem Okonkiem na czele. Przejawszy władzę w powiecie, Komitet domagał się przeprowadzenia rewolucyjnych reform społecznych. Aby ośmieszyć ten fakt w oczach społeczeństwa, wrogowie nadal temu tworowi tarnobrzeskiemu parodystyczną nazwę „Republiki Tarnobrzeskiej”. Wśród organizatorów Komitetu Rewolucyjnego było nazwisko Stanisława Gąsiorowskiego. Od tej chwili „Stach znad Sanu” stał się nieoficjalnym poetą tarnobrzeskiego ruchu. Swe rewolucyjne wiersze zaczął teraz drukować w „Woli Ludu”, organie prasowym powstałego podczas zamieszek 1918 roku Radykalnego Stronnictwa Chłpskiego. Tu też w r. 1918 ukazał się napisany w Majdanie Zbydniowskim utwór pt. „Republika Tarnobrzeska”:

*Jest w Tarnobrzegu, na rynku
Bartosza,
Posąg — rzeźbiarza Korpala twór
dłuta,
Pod którym liczą pilnie grosz do
grosza
Co tydzień w środę, pogoda czy
pluta,
Wokół pomnika piękne Majdanianki,
Rozkładające cebulane wianki.*

*Przed tym pomnikiem lud się raz
zgrupował
W listopadowe południe gorące
I nad niedolą własną, bratnią
radził.
Ludzi tam wsiokskich zeszło się
tysiące,
Z Bartoszewego posągu-trybuny
Strzelali chłopskich mówców
słów piorunów...
Jak jedno serce biły tam serc krocie,
A mnogie skargi wołały do nieba:
Kto otrze gorzkie łzy wdowie,*

*sterocie,
Kto powszedniego da zgłodniałym
chleba?!*

*W owo słoneczne, pamiętne południe
Jakby się ludzkich dusz otwarły
studnie.*

*Jakby się stare otworzyły rany
Wielki nieuoł krzyczył spod ziemi,
Lud płakał polski wciąż*

*poniewierany,
Nędzni, pod batem pańskim wzrosli
niemi,
Tam przemówtli, pod pomnikiem
Bartka —
Mowa ich była jak krew w żyłach
wartka.*

*(.)
Lud sandomierski, ten robotczy
Mazur
Z piasków i rędzin, bagien,
leśnych polan,
(Biada ci, jeśli wlażesz mu za
pazur!)*

*Ten lud, co „panu” kłaniał się do
kolan,
Na wiec się zebrał wtedy w owym
mieście,
Głowa przy głowie chłop — maż
przy niewieście.*

*Co tam uradził i spał na karty,
Ziemie żądając, ludowego władztwa,
To wysłuchały pańskie szpiegi,
czarty —*

*Które niech piekło chłonie za
łajdaetwa!
Wnet się rozległa w Polsce wrzawa
dzika:*

*Jest w Tarnobrzegu chłopiska
Republika!*

*Zamiast ludowi dać do życia
karmu.*

Przysłano z PKL) krakowskich „gości” —
Przybyli c. k. rządcy i żandarmy,
Bośmy niegodni — wedle nich —
wolności,
My, z Tarnobrzeskiej chłopcy
Republiki,
Rabusie, łotry, zbroje, bolszewiki...”

Nie zapomniał Gąsiorowski o pisaniu wierszy podczas pobytu w Ameryce i po powrocie do kraju. Drukował je m. in. w organach Niezależnej Partii Chłpskiej. Jak przedtem tak i teraz dominował w nich właściwy mu radykalizm, motyw buntu, sarkazm i ironia wobec warstw panujących. Rozprawiał się tu z kompromisową polityką „Piasta” i innych oportunistycznych stronnictw ludowych.

Pod względem formy nie był Gąsiorowski poetą oryginalnym. Jak w „Republice Tarnobrzeskiej” stylizowanej na wzór przełożonej przez Syrokomlę elegii Klemensa Janickiego „O sobie samym do potomności”, jak i w „Pieśni oraczy”, gdzie wzorem była mu pieśń „Gdy naród do boju” — tak w każdym z jego wierszy da się odnaleźć formalny wzór inspiracji poetyckiej autora. Obok poezji romantycznej naśladował Gąsiorowski rewolucyjną pieśń robotniczą, chłopski lament, kolędę, czy nawet pieśń kościelną.

W ostatniej gawędzie pt. „Turzy bór” złożył hołd „najbliższej ojczyźnie”, pejzażowi rodzinnych okolic, jej mieszkańcom, świadkom swojej młodości. Do głosu doszedł tu Majdan Zbydniowski:

*„Słucham twej doli westchnień
i pomruków
Przy ciężkiej pracy pełnej cierni,
ostów —
Krajo moja puszczająca szeroka,
Gdzie płynie Wisłok, San, Tanew,
Wisłoka.*

*Majdan — co drugi siedzą chłopci
Turki,
Od lat tamiarze, znani z żartów,
piosenek.*

*Tam mojej matki niebo jest bez
chmurki*

*I uśmiech kobiet miły jak
pierwiosnek...
(.)*

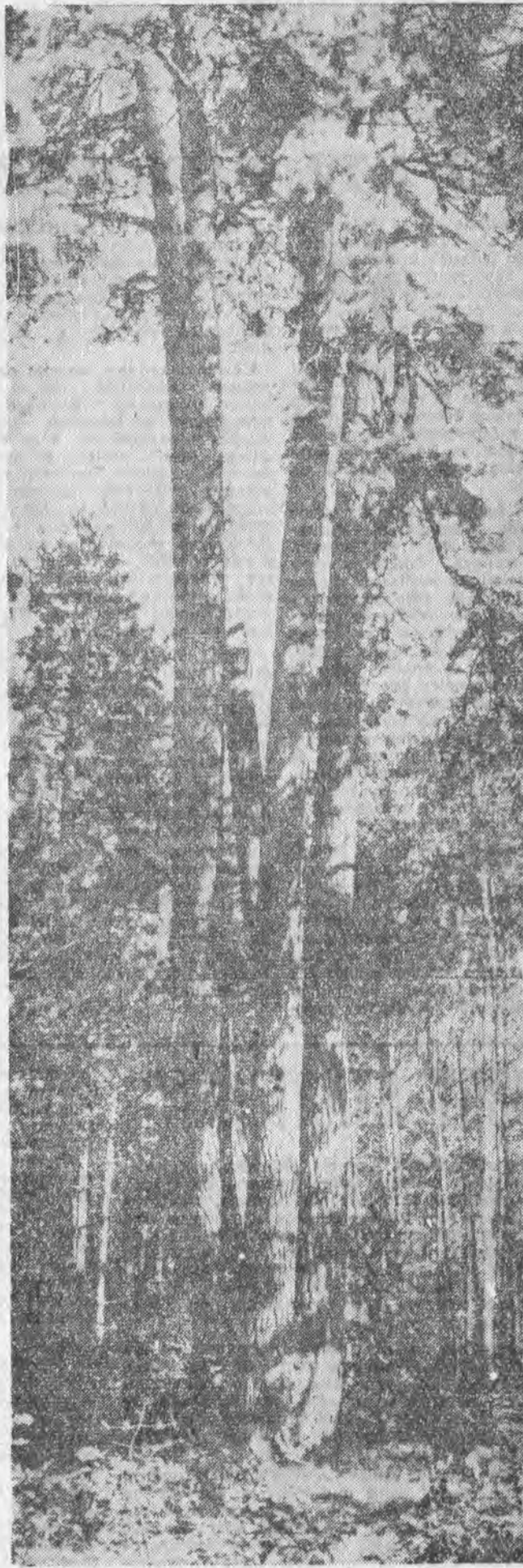
*Tuż do Majdanu, na dawnej
porębie*

*Wółka się tuli, jak baba do chłopca —
Chata przy chacie i gęba przy gębie,
Ale urodnej; zgrabna ręka, stopa.
Zadzierny każdy, kogoś ma na zębie.
Lecz żdźbta nie ruszy nikt z cudzego
snopa,*

*A nowin cheiwy, jak mówią
„ciekawiec”,*

*Co który chłop tam zowie się
Latawiec”.*

1) PKL — Polska Komisja Likwidacyjna, która po rozpadnięciu się monarchii austro-węgierskiej kierowała administracją państwową w Małopolsce.



P
I
E
K
N
O
P
R
Z
Y
R
O
D
Y

Fot. EMIL SAJDAK



Ameryki, rozmowy z robotnikami, z którymi pracował przy regulacji rzeki, zrodziły u Gąsiorowskiego myśl pisania wierszy. Zaczął je ogłaszać w prasie chłopskiej mając lat siedemnaście.

Z niewielu utworów, które się z tych czasów zachowały, widać, że wiersze „Stacha z nad Sanu” swoją wymową ideologiczną odbijały od współczesnej poezji chłopskiej, naśladującej i wpadającej w ton liryki Pola, Ujejskiego, Lenartowicza, Asnyka czy Konopnickiej. Wzorem dla Gąsiorowskiego była rewolucyjna poezja romantyczna Gustawa Ehrenberga, Edmunda Wasilewskiego, Ryszarda Berwińskiego i rewolucyjna pieśń robotnicza. Świadomość zawartego w pierwszych wierszach buntu wyraził w stylizowanym na wzór Wasilewskiego „Wyznaniu”, wydrukowanym w r. 1910 w „Poli”:

*Ja nie błędę lunatykiem
W księżycowym seledynie,
Ale idę z buntu krzykiem.
Który w żyłach ludu płynie,
A nie idę fanatykiem,
Co na stoście z wiarą ginie.*

*Ja nie szukam barw i słowa
W zamysleniu pogrzebowym —
Mówię to, co serce chowa
W swym cierpieniu starym,
wsiowym,
Mówię, chcę być moją mowa
Gorzkim zieleni pionowym...”*

Owo znane z ludowej poezji rosyjskiej „pionowowe ziele”, symbol ciężkiej doli chłopskiej, leży u podstawy klasowego buntu późniejszych wierszy rewolucyjnych Gąsiorowskiego. Przed wojną wyrażał

WYCHOWANIE EMOCJI

Nazwisko prof. A. Miasnikowa, członka Akademii Nauk Medycznych ZSRR i dyrektora Instytutu Terapii w Moskwie, szeroko znane jest światowej opinii lekarskiej. Wiosną br. odbyła się w Genewie uroczystość wręczenia radzieckiemu uczonemu nagrody międzynarodowej — „Złotego Stetoskopu”. Nagrodą tą odznaczono dotychczas czterech czołowych kardiologów świata. Pierwszym laureatem był wybitny kardiolog ze Stanów Zjednoczonych, prof. Paul White.

Na łamach ostatniego numeru czasopisma „Znamia” prof. Miasnikow zabrał głos na temat — jak to określa — „problemu nr 1: serca”, a zwłaszcza zagadnienia profilaktyki chorób sercowych.

Wśród głównych przyczyn, tworzących predyspozycję do chorób sercowych, prof. Miasnikow — zgodnie z poglądem innych wybitnych kardiologów — wskazuje na napięcie nerwowe, na umysłowe i emocjonalne przeciążenie współczesnego człowieka. Z drugiej jednak strony, pisze kardiolog radziecki, błędem byłoby sądzić, iż emocje w ogóle są bezpośrednią przyczyną chorób sercowych. „Emocje — pisał Pawłow — są źródłem siły dla działalności kory mózgowej. Bez emocji nie ma życia”. Przyczyną zła jest naruszenie mechanizmu emocji, skutki zahamowanej reakcji. W związku z tym prof. Miasnikow wskazuje na konieczność doskonalenia charakteru, kształtowania obiektywnej postawy w sporach, sprawiedliwości w polemice, gotowości do samokrytycznej postawy, spokojnej stanowczości tam, gdzie racja jest oczywista. Te cechy charakteru wychowywać trzeba w człowieku od dziecka. Nawet — od najwcześniejszego dzieciństwa.

Owego „wychowania emocji” — pisze kardiolog radziecki — nie należy, jak często czynią to pedagodzy, mylić z nauką hamowania emocji. Tworzenie różnych „tabu” przynosi skutki wręcz przeciwnie. Trzeba znajdować i wskazywać dziecku inne, silniejsze emocje zamiast pierwszej, negatywnej. Dziecko powinno rozumieć dlaczego „nie wolno”.

Obok tego istnieją też czysto praktyczne sposoby „rozładowywania” napięcia emocjonalnego — uprawianie sportu, gimnastyki. Emocje uspokaja także literatura, muzyka, malarstwo.

„Chorobom naczyń wieńcowych można zapobiegać — pisze Miasnikow — ale walkę z tym trzeba rozpoczynać od najwcześniejszego dzieciństwa. Trzeba tak formować charakter dziecka, aby nie przeżywała w nim nadmierną skłonność do negatywnych emocji. Nie należy też, oczywiście, zapominać o warunkach, które im sprzyjają, o potrzebie przemian w życiu społeczeństwa, doskonalenia tego życia”. Kardiolog musi być socjologiem, musi wiedzieć więcej o stosunkach międzyludzkich, o warunkach życiowych. Właśnie kardiolog — ponieważ choroby naczyń wieńcowych są przede wszystkim rezultatem niedoskonałości stosunków międzyludzkich.

Prof. Miasnikow pisze o szkodliwości alkoholu i palenia („najlepiej oceniają to amerykańskie towarzystwa ubezpieczeniowe: każą one palaczom płacić o wiele wyższe składki ubezpieczeniowe niż niepalącym”). Ciekawe, iż z mniejszym przekonaniem pisze on o stosowanych na Zachodzie dietach w profilaktyce chorób sercowych; „dieta odgrywa rolę uzupełniającą, a niekiedy nawet drugorzędną”.

na WPROST

PIAST BYŁ PIERWSZY

Jednym podoba się w Polsce to, innym owo, ale wszyscy są zgodni, że tak dużo ładnych kobiet nie ma nigdzie na świecie. Obawiam się, że ta opinia wkrótce może się zmienić. Coraz więcej bowiem pojawia się na ulicach naszych miast i miasteczek dziwnych potworków, które długim włosom udają kobiety i czasem dobrze się trzeba przyjrzeć, żeby stwierdzić, że to nie dziewczęta, lecz naśladowcy czterech kudrnatych chłopców z Liverpoolu, tyle że bez żadnych talentów. No, ale nie każdy ma ochotę tak dokładnie się przyglądać.

Zachodni socjologowie zainteresowali się tym niezwykłym zjawiskiem bitlesomanii i w wyniku przeprowadzonych badań stwierdzili, że znakomita większość długowłosych wykazuje inteligencję poniżej przeciętnego średniego poziomu. Ano, potwierdza się stare przysłowia: włos długi — rozum krótki. Można by rzec — trudno, jako że zawsze będzie pewien procent osobników o ograniczonej inteligencji i zawsze będą oni usiłować swe ubóstwo umysłowe rekompensować różnymi dziwnymi pomysłami, w zależności od wieku, przybierającymi różne formy. Można by również powiedzieć, niech się martwią fryzjerzy i na tym poprzestają.

Fryzjerem nie jestem, a jednak nowa, rozprzestrzeniająca się moda, mocno mnie niepokoi. Nie chodzi bowiem o długość włosów. Przed kilkoma laty byli przecież naśladowcy Yul Brynnera i świat się nie zaważył. Tylko że moda na te czasy nie była niczym innym jak tylko ekstrawagancją. Natomiast sprawa „módsów” to również sprawa

określonego stylu życia. Jak długo naszym rodzimym „módsom” wystarczy demonstrowanie własnej głupoty nieprawdopodobnymi fryzurami? Czy na tym poprzestaną? Czy nie zechcą naśladować swoich zachodnich wzorców i w innych dziedzinach?

Zastanawiam się czasem, czy naprawdę niezbędne jest w naszej prasie lansowanie pewnych mód panujących w pewnych kręgach młodzieży zachodniej? A że tak się dzieje, niech posłuży za przykład jeden z ostatnich numerów nieocenczonego „Przekroju” (dobrze o nas mówili) od lat zresztą specjalizującego się w zaszczepianiu bezwartościowych snobizmów (czyżby śle o nas mówili?), w którym to numerze prezentowana jest najnowsza moda „módsów” włącznie z jakimiś koronkowymi koszulami. Wzór gotowy — tylko naśladować.

Nasza młodzież wykazuje na ogół dużo zdrowego rozsądku. Najlepszym dowodem jej zachowanie w czasie występów niektórych bożyszczków młodzieżowych, czy choćby na filmie Beatlesów. Na Zachodzie demolowano sale, u nas kończyło się na możliwym do wytrzymania hałasie. Rzecz więc w tym, żeby pieczołowicie chuchać na ten zdrowy rozsądek.

Nie mam zamiaru postulować przymusowych postrzyżyn. To na pewno nie byłaby metoda. Najlepszy jest śmiech, drwina. To skutkuje. A jeszcze byłoby lepiej dowiedzieć, że tę nową modę wymyślił nie chłopcy z Liverpoolu, ale Piast Kłodzkiej. No, bo kto chciałby naśladować Piasta?

ZER



Red. EDWARD WALAWSKI — długoletni sekretarz Zarządu Oddziału SDP w Rzeszowie.

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

Amerykańska lektura

W paryskich „Les Echos” ukazała się ciekawa analiza amerykańskiego rynku księgarskiego. W ciągu 10-letnia 1952-1962 — czytamy w artykule — wydawcy amerykańscy potroili nakłady książek osiągając w r. 1963 — 1,675 mln dolarów (prawie 8 mld franków). Dla porównania pismo przytacza obroty wydawców francuskich, które w tym samym roku osiągnęły niecały miliard franków. To znaczy, że w Ameryce wydano prawie 8-krotnie więcej książek, mimo że ludność Stanów Zjednoczonych przekracza tylko 4-krotnie liczbę mieszkańców Francji.

Aby jednak poznać rzeczywistą sytuację na amerykańskim rynku księgarskim, trzeba mieć na uwadze je-

go zupełnie odrębną strukturę. Przy głębszej analizie przytoczonych cyfr rzucają się w oczy niskie nakłady dzieł literackich, daleko mniejsze niż we Francji (mimo różnicy liczby mieszkańców w obu krajach). Okazuje się, że w Stanach Zjednoczonych zamieszkała większość czytelników zadowala się lekturą prasy tygodniowej — różnorodnych magazynów, ilustrowanych pism i przeglądów. Dla przykładu: na 1000 mieszkańców sprzedaje się 325 pism kobiecych (we Francji 210). Około 50 magazynów drukuje się w nakładach przekraczających milion egzemplarzy. Magazyn miesięczny „Reader's Digest” osiąga nakład 14,5 mln egz.

Analiza czytelnictwa książek wykazuje, że Amerykanie prawie nie czytają beletrystyki, z wyjątkiem powieści kryminalnych i westernów. Literatura piękna stanowi niecałe 6 proc. wszystkich książek wydanych w USA w 1964 r. Znaczna jest natomiast popularność dzieł dokumentalnych, książek popularzatorskich, wszelkiego rodzaju podręczników, poradników oraz encyklopedii. Tego rodzaju książki stanowiły w r. 1962 blisko 25 proc. wszystkich wydań.

W ostatnich latach obserwuje się na amerykańskim rynku księgarskim potężną inwazję wydań kieszonkowych, tzw. pocket-booków. Nakłady tych tanich wydań przekroczyły w roku 1962 dwukrotnie nakłady wszystkich innych książek.

W konkluzji „Les Echos” stwierdza, że w budżecie przeciętnej rodziny amerykańskiej książki nie zajmują wysokiego położenia. „Statystyczny Amerykanin” wydaje w skali rocznej ponad 8 dolarów na zakup książek. Za tę sumę można kupić przeciętnie 6,5 książki. Jedną czwartą z tego przypada na podręczniki szkolne, jedna czwarta na encyklopedie, a tylko jedna trzecia na literaturę piękną. Jeśli nie liczyć przy tym tanich wydań masowych, można przyjąć, że w ciągu roku „statystyczny Amerykanin” kupuje półtora tomu beletrystyki. Jest to bardzo mało i znacznie mniej niżeli we Francji.

teraz około 300 czynnych nauczycieli nie tylko z województwa rzeszowskiego. Rosnące rzesze nauczycielskie będą wymagały dalszego dokształcania, zwłaszcza w specjalnościach „deficytowych”.

Przewiduje się, że liczba studentów na studiach dziennych dojdzie do 1500 osób, na studiach zaocznych — 1000 osób. Trzeba spodziewać się rosnącego wpływu środowiska studenckiego nie tylko na terenie Rzeszowa, o kadry naukowej już wspominałem, wolno marzyć o realizacji „miasteczka” akademickiego.

Wielkie środowiska akademickie są dzisiaj po prostu przeciążone; pisała o tym niedawno np. prof. Janina Kulczycka-Saloni. Decentralizacja okazała się i w tym wypadku metodą słuszną i konieczną. Decyzja naszych najwyższych czynników o powstaniu (obok WSI) samodzielnej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie odbiła się szerokim echem nie tylko w kręgach nauczycielskich, ale również wśród szerokiego społeczeństwa, wśród rodziców i młodzieży, której część będzie mogła na istniejących kierunkach studiować w Rzeszowie.

Nie od razu... Rzeszów zbudowano. Różne problemy trzeba będzie rozwiązać stopniowo. Ale są podstawy do realnego optymizmu.

Dr TADEUSZ STANISZ

zdarzenia tygodnia

8 bm. w WDK odbyła się narada działaczy kulturalno-oświatowych poświęcona XII Konkursowi Recytatorskiemu. Podczas narady omówiono regulamin i repertuar konkursu, a uczestnicy wysłuchali kilku przykładów wzorowej recytacji.

4 bm. rozpoczął w woj. rzeszowskim gościnne występy zespół Państwowego Teatru Lalek „Rabcio-Zdrowotek” z Rabki, przedstawiając baśń chińską „Szu-Chin”, czyli „Dziewczyna z ryżowych pól” Anny Świrskiej w reżyserii Krzysztofa Niesiołowskiego.

Również 4 bm. przybył na Rzeszowszczyznę Państwowy Teatr Lalek „Czerwony Kapturek” z Olsztyna, który do 31 bm. będzie wystawiał sztukę Wojny Rabadana pt. „Rusaleczka” w reżyserii Jana Wrzesniewskiego, scenografi Mieczysława Antuszewicza.

W drodze wymiany, rzeszowski Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” wyjedzie do woj. olsztyńskiego i krakowskiego. Obecnie zespół miniaturowy tego teatru przebywa w woj. koszalińskim, gdzie wystawia sztukę „Bractwo figlarzy” A. Domańskiego.

Ostatnio ukazał się, wydany nakładem Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej w Rzeszowie, album „Ziemia gorlicka”. Na całość składają się wstęp sekretarza Prezydium WRN w Rzeszowie M. Marszałka, zatytułowany „Ziemia gorlicka, jej osiągnięcia w okresie 20-lecia władzy ludowej i perspektywy dalszego rozwoju” oraz druk (ponad 100) zdjęć i rysunków. Druk, jak zwykle staranny, krakowskiego Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie wyszła tym razem naprzeciw zwolennikom muzyki rozrywkowej. 8 bm. w sali WDK odbył się koncert muzyki popularno-rozrywkowej. Orkiestra, którą dyrygował Tadeusz Chachaj wykonała popularne melodie — tanga, rumba i walce. Z orkiestrą wystąpił również warszawski kwartet rozrywkowy „Beltono”. POS wystąpiła również przed młodzieżą szkolną w sali kina „Świt” w Rzeszowie. Planowane są także wyjazdy w teren.

WIDNOKRAG odpowiada

K. SZ. DUKLA: Wiersze jeszcze, niestety, nie nadają się do druku, lecz jest w nich sporo ładnych i poetyckich sformułowań. Szkoda, że Pani nie może się zdecydować na jednolitą konwencję formalną i w tym samym utworze wykazuje „ciągoty” w kierunku tradycyjnej i nowoczesnej formy wiersza. Stąd obok oryginalnych stwierdzeń pojawiają się wyartykułowane i zbanalizowane. Istotnie najciekawszy z nadesłanych nam wierszy, to „Zamknięte oko”. W tym kierunku winna Pani kroczyć w swych próbach. Natomiast „Szara gozina”, „Matka”, „Refleksje” nie sąsługują na aprobatę. Prosimy o utrzymanie z nami kontaktu.

J. S. JASŁO: Wiersze zachowujemy w tece redakcyjnej, może któryś wykorzystamy.

R. M. LEJASK: Utwór do druku się nie nadaje mimo szlachetnych, humanistycznych intencji. Jest zbyt słaby artystycznie. Chyba nietrafne jest porównanie samolotu do szczura. Powieć Pan sens utworu i celność sformułowań dla rymu, a własny stosunek uczuciowy do walki w Wietnamie — dla hasła i sloganów.

M. L. KROSNO: Z Pana wierszy nie skorzystamy. Nie dostrzegliśmy w nich wartości poetyckich i sądzimy, że nie w nich nie wskazuje na pańskie uzdolnienia literackie. Chyba nie warto się ludzić.

K. B. RZESZÓW, G. P. TARNOBRZEG: Nie będziemy publikować. Wiersze nie mają nie wspólnego z utworami poetyckimi poza lichymi rymami.

CO WIATR NIESIE

Przemyskie muzeum jest jedyną zapewne w Polsce instytucją, w której urzędowo korespondencje pisze się odręcznie. Jest to zastępa Prezydium MRN w Przemysku, która uważa, że sam charakter i dostojność owej placówki nie pozwala na postępowanie się bardziej nowoczesnym sprzętem biurowym i zbytnie milczącym wszelkie próby o zakup maszyny do pisania. Uważamy, że w postępowaniu tym Prezydium jest niekonsekwentne. Winno ono zażądać, by muzeum sprawozdania swe i korespondencje pisało na pergaminie. To jeszcze bardziej odpowiadałoby charakterowi instytucji. Ale Prezydium musiałoby starać się o przydział pergaminu...

DOBRY START „AA”

Już od roku działa Agencja Autorska, reprezentująca interesy polskich twórców za granicą. W tym niejako próbnym okresie pracy Agencja, przejmując w swoje ręce większość dotychczasowych nasych kontaktów w zakresie przekładów książek polskich pisarzy oraz — stopniowo także w zakresie „ekspertury” polskiej muzyki i plastyki — otworzyła szerzej „okno na świat” naszym twórcom. Od 1 listopada ub. roku — „AA” zawarła 277 umów wydawniczych i teatralnych.

Innym torem, na który wkracza Agencja — dla szerszego rozpowszechnienia naszej literatury jest nawiązanie ściślejszych kontaktów z tłumaczami literatury polskiej za granicą. Zapoczątkuje tę akcję Międzynarodowy Zjazd Tłumaczy Literatury Polskiej, który w pierwszej dekadzie listopada odbędzie się w Warszawie.

Ostatnio Agencja Autorska sfinalizowała umowę z wydawnictwem Volk und Welt w Berlinie na dostarczenie materiałów do „Antologii polskiego dramatu powojennego”. W antologii, która wyjdzie w NRD w 1966 r., znajdują 10 pisarzy, reprezentujących główne tendencje polskiej dramaturgii od 1945 r. Będą tam więc „Dwa teatry” Je-

rzego Szaniawskiego, fragmenty „Zielonej gęsi” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, dramaty Kruczkowskiego, a także Broszkiewicza, Drozdowskiego, Grochowiaka, Herberta, Jurandota, Mroźka i Różewicza.

To samo wydawnictwo przygotowuje przekład wyboru wierszy Tadeusza Różewicza oraz opowiadania Kazimierza Brandysa.

Na podstawie umów z Agencją ukaże się na Węgrzech drugie wydanie powieści Wojciecha Żukrowskiego „Skapani w ogniu” oraz pierwsze wydanie książki „Polskiego Indianina” Sai-Okh (Stanisława Supłatowicza), „Ziemia słonych skał”. Ta ostatnia pozycja interesują się również wydawcy francuscy.

W Meksyku wyjdzie przekład „Matki Królów” K. Brandysa, a w Izraelu — „Sennika współczesnego” Tadeusza Konwickiego.

Agencja Autorska zawiera umowy nie tylko na książki z literatury pięknej. Po japońskim przekładzie pracy Stanisława Ossowskiego „Struktura klasowa w świadomości społecznej”, ukaże się jej przekład w Brazylii. Zainteresowanie budzi książka Leopolda Infelda „Szkice z przeszłości” — Agencja otrzymała już ofertę z Japonii, przeprowadziła też wstępne rozmowy na temat jej przekładu w Czechosłowacji i NRD. W NRD ukaże się „Przewodnik teatralny” Stanisława Marczyka-Oborskiego, w Rumunii — „Lata próby” Mariana Naszkowskiego.

Refleksje optymistyczne

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wszystkich zakątków Polski. Warto przypomnieć znamienny fakt, że w 1919 r. miała miejsce istna emigracja nauczycieli z byłej Galicji zachodniej i środkowej, a więc z terenu dzisiejszych województw rzeszowskiego i krakowskiego do Wielkopolski i Pomorza, a nieco później i na Śląsk; wiadomo, że braki kadrowe wśród pedagogów były tam szczególnie silne na skutek znanych warunków politycznych w zaborze pruskim. W nieco mniejszym stopniu wyjeżdżali stąd nauczyciele i w inne strony Polski. Nikt chyba jeszcze nie policzył, ilu nauczycieli wyjechało po wyzwoleniu z naszych stron na Ziemię Zachodnią i ilu absolwentów zakładów kształcenia nauczycieli zasila corocznie te ziemie.

Nigdy nie było kłopotów z rekrutacją do szkół nauczycielskich nawet w tych czasach, gdy wyzdemograficzny nie pukał do wszystkich bram szkolnych, jak obecnie; wiesz rzeszowska przede wszystkim i nieliczna przed 1939 r. klasa robotnicza dawała zawsze wiele wartościowych jednostek — kandydatów na nauczycieli. Tra-

dyce nauczycielskie w niektórych rodzinach są dotąd żywe. Dało więc Rzeszowskie Polsce sporo kadr nauczycielskich na poziomie wykształcenia średniego. Gdy chodziło jednak o poziom wyższy — trzeba było jechać do miast akademickich. Tam były uniwersytety, instytuty pedagogiczne; dla naszego regionu niepoślednie znaczenie miało w latach trzydziestych 2-letnie Pedagogium w Krakowie, prowadzone przez wybitnego pedagoga dra Henryka Rowida (wychowanka Seminarium Nauczycielskiego w Rzeszowie) i mające charakter uczelni półwyższej.

Dzisiaj licea pedagogiczne — spełniwszy swą pozytywną rolę — ulegają likwidacji, ustępując miejsca studiom nauczycielskim, które stają się coraz powszechniejszą formą kształcenia nauczycieli na poziomie półwyższym. Przyjmując 18-letnich maturzystów dają po 2 latach nauczycieli przygotowanych gruntownie do pracy w swej specjalności i o 2 lata dojrzałych życiowo w stosunku do absolwentów liceów pedagogicznych.

Dzięki rozwiniętemu systemowi studium zaoocnych wielu czynnych nauczycieli uzupełniło swe wykształcenie. Dzisiaj planowany wskaźnik

40 proc. nauczycieli z wykształceniem, odpowiadającym studium nauczycielskiemu został już w naszym województwie przekroczony.

Rzecz jednak znamienna. Oto w środowiskach nauczycielskich zaobserwować można po ukończeniu studium stacjonarnego czy zaoocnego — ambicję ukończenia pełnych studiów wyższych — najczęściej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Hasło „Polska krajem ludzi kształcących się” obejmuje i nauczycieli w stopniu budzącym podziw i uznanie.

Pytanie chyba retoryczne: Czy reforma szkolna, realizowana obecnie w niełatwych warunkach, nie wymaga nauczycieli przygotowanych w zakresie swej specjalności na najwyższym poziomie i umiejących zastosować nowoczesne metody nauczania? Socjalistyczna szkoła polska stawia tu duże wymagania; potrzeby rosną.

Tym różnorodnym potrzebom wyjąć pragnie naprzeciw Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie. Na studiach stacjonarnych, dziennych będą kształcić polonistów, rusycystów, matematyków, fizyków i specjalistów w zakresie wychowania technicznego. Jest ich już dzisiaj 560 osób. Na dwóch tylko kierunkach (polonistyka i matematyka) kształcą się już